

JEJ STYL

KRYSTYNA

KERSTEN

*Anioły
są nudne*

Nie wstydzi się swojego życiorysu jako historyk i jako kobieta. Nie zwalnia tempa i **wszystko robi „naprawdę”, jeśli jej zależy.**

Kocha historię, a uprawia z wielkim powodzeniem tę najnowszą, która, zwykle się uważać, jest domeną mężczyzn.

Kocha też **góry, diabły i perfumy.**

Tekst: BARBARA N. LOPIEŃSKA

Zdjęcia: ADAM HAYDER

KRYSTYNA KERSTEN jest profesorem w Instytucie Historii PAN. Pisze o najbardziej palących problemach naszej bliskiej przeszłości. Publikuje w wielu czasopismach historycznych. Wydała książki: *Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego* (Lublin 1966), *Repatriacja ludności po II wojnie światowej* (Ossolineum 1971), *Polska 1943–1948. Narodziny systemu władzy* (Biblioteka „Krytyki”, Krąg 1985 oraz Libella 1986), *Jałta w polskiej perspektywie* (Aneks & Nowa 1989), *Polacy – Żydzi – Komunizm. Anatomia półprawd* (Nowa 1991), a ostatnio – *Między wyzwoleniem a zniewoleniem. Polska 1944–1956* (Aneks 1993).



W domu ma komputer oraz szezlong. Wielu historyków ma komputer, ale niewiele kobiet ma prawdziwy szezlong. Siedzi przy komputerze nad artykułem, który będzie miał tytuł *Warianty polityki polskiej 1944*. A na szezlongu siedzi z myślami, czy potrafi coś nowego na ten temat powiedzieć, bo im bardziej się weń wgłębia, tym bardziej wydaje się jej banalny. Jeśli się na jakiś temat dużo wie, to wszystko wydaje się banalne.

Komputer składak typu IBM (nie XT, ale AT, zaznacza pani profesor) stoi na dużym biurku w małym gabinecie. Cała ściana półek wypełniona jest pudłami z fiskalami, bo przecież nie jest w stanie wprowadzić do komputera notatek z całego życia. Musiała by mieć, jak twierdzi, sztab asystentów. Kiedy siedzi w archiwum, nadal pracuje metodą króla Ćwieczka, notując na kartkach formatu A4, które potem składa na pół i układa w pudełkach. Tak więc komputer służy jej raczej jako maszyna do pisania niż do pracy na bazie danych, czego zresztą, jak mówi, i tak nie potrafi. A diabeł, który stoi obok komputera służy do tego, żeby stał. – Nie mam satanistycznych skłonności, ale anioły są tak nudne – mówi pani profesor. Szezlong, rzecz jasna, stoi w pokoju, w którym przyjmuje gości. Kiedyś był obity pięknym angielskim kretonem, potem ze względu na dzieci, ohydny, ale trwałym rypsem, teraz znowu nosi angielski kreton, na który pani profesor, będąc kilka lat temu w Anglii, wydała połowę wszystkich pieniędzy. Bo uważa, że aranżacja mieszkania jest wyrazem osobowości kobiety.

No więc tak: wszędzie, jak mówi pani profesor, stoją różne różności i wśród tych różnych różności nie ma ani jednej rzeczy, która by czegoś nie znaczyła. Albo po mamie, albo od dzieci, albo od przyjaciół. Jeden koral jest od przyjaciółki z Paryża, drugi z australijskiej rafy koralowej od córki. Ten dzbanek jest z domu rodzinnego zięcia, a ten kupiła za rubla w Kijowie. Nad szezlongiem wiszą portrety prababci i reszty rodziny – to jest po mamie, a to jej ktoś dał w Oksfordzie. A to jest maszyna do cięcia diamentów, którą syn przywiózł z Holandii, a może z Belgii. Na parapecie okna w sypialni leży miś – nie wyrzuci przecież misia po dzieciach, ale te, które leżą w koszu w salonie, to już są jej prywatne misie. Misie oraz pies bardzo dobrze piorą się w pralce.

Wśród różnych różności są jeszcze figurki drewnianych diabłów i drewnianych Żydów, kolekcja niebieskiego szkła, chińska róża, pokojowe lipki, bluszcze i afrykańskie fiołki, bo o książkach chyba nie będziemy wspominać. Lubi, żeby w domu były kwia-

ty, bo wtedy mieszkanie żyje, ale nie pasjonuje się specjalnie ich pielęgnowaniem. Mówi, że jej kwiaty mają zimny wychów. Tak jak kiedyś zimny wychów miały jej dzieci. Uważa, że była okropną matką. Była okropną matką, ponieważ chciała być dobrą żoną. Albo powiedziała by to tak: nie można być idealną matką, jeśli się jest zakochaną

własnością państwa. Jeśli ktoś chciał wziąć garnek czy szezlong, musiał mieć zezwolenie z okręgowego urzędu likwidacyjnego. Ludzie uczciwi, którzy mieli pieniądze, kupowali od Niemców, nieuczciwi szabrowali, a uczciwi, którzy nie mieli pieniędzy, chodzili po zezwolenia. Tak więc, można powiedzieć, szezlong pochodzi z legalnego

Ma poczucie, że jest wolna, tak wolna jak tylko człowiek może być. Żyje tak jak chce żyć, jest samotna z wyboru, a nie z przymusu.

we własnym mężu. To są role nie do pogodzenia. Na przykład wakacje. Marzeniem państwa Kerstenów było podrzucić komuś dzieci i wyjechać we dwójkę w góry. W ostateczności brali dzieci z sobą. Do dziś pamięta, jak poszli z siedmioletnim Grzegorzem przez całą Dolinę Białej Wody, poprzez przełęcz Rohatkę do Doliny Świsłowej. Wyprawa na osiem godzin. Przespali się w schronisku i poszli na następne osiem. Jedli przez dwa dni wyłącznie budyni z malinami i choć pani profesor przez całą drogę śpiewała synkowi „idą, idą misie”, Grzegorza do dziś nie da się wyciągnąć w góry.

Grzegorz skończył ekonometrię, Olga psychologię. Są w Kanadzie i mają już własne dzieci. Poparła decyzję córki i syna o wyjeździe, bo uważała, że w Polsce nigdy nie będą bezpieczni. Kilka miesięcy po wyjeździe dzieci zmarł profesor Adam Kersten. To już dziesięć lat. Jeździ do Kanady raz na rok, na kilka tygodni. Pierwszy tydzień jest świetnie, a pod koniec zaczyna jej brakować niezależności i tych wszystkich warszawskich spraw, które nie pozwalają położyć się z kryminałem na szezlongu.

Szezlong jest z szabru. Zostały po wojnie z matką bez mieszkania, bez mebli, bez „świnek” i dwudziestodolarówek, tyle że mama miała głowę i cztery ręce. Legalistka nie ze strachu, ale z najgłębszego przekonania przestrzegała prawa, a prawo stanowiło wtedy, że całe ponemieckie mienie jest

szabru. Nielegalnego szezlonga pani profesor, prokuratorska córka, w domu by nie trzymała.

Pochodzi z prawniczej – z dziada pradziada – rodziny. Choć urodziła się w Poznaniu, nie czuje się poznanianką, czuje raczej odległą więź z Kresami, skąd wywodzi się rodzina ojca i matki. Z Poznania wyjechali we wrześniu 1939 roku, choć nie w ewakuacyjnych transportach, ponieważ właśnie umierał dziadek. Ojciec miał się zgłosić we Lwowie, więc przedzierali się przez płonący Wołyń. W Hołobach koło Kowla ludzie radzili mu, żeby zniszczył swoją prokuratorską legitymację, ale ojciec był zasadniczy. Pani Krystyna pamięta scenę pożegnania rodziców: „no to zobaczymy



Jako mała dziewczynka pisała do Stalina, by wypuścić jej tatusia z obozu.

się...” – powiedziała matka, „tam gdzie zachodzi słońce” – odpowiedział ojciec słowami piosenki. I już się więcej nie zobaczyli. W tej piosence były jeszcze słowa „bo każdy spotkany łażik, byle morowy, to już nasz brat”, które ośmioletnia Krzysia – jak ją nazywali – zmieniła na „każdy spotkany łażik, byle był Polak, to już nasz brat”. Dojechały z matką do ciotki we Lwowie. Krzysia pisała do ojca do Kozielska, że mama tęskni i płacze, jak kraje cebulę. Pisała do Stalina, żeby jej tatusia wypuścił. W 1989 roku napisała w „Tygodniku Solidarność”: „Nie przypominam sobie, by po wojnie matka interesowała się publikacjami na temat Katynia, w każdym razie nie



Prof. Krystyna Kersten: Pisanie historii jest jak układanie puzzli – z okrucichów i strzępów informacji, ale przy braku obrazka-wzorca.

mówiła o tym ze mną. Wiem za to z całą pewnością, że ja sama nie brałam ich do ręki, nawet gdy znajdowały się w zasięgu, w bibliotece Instytutu Historii. Uciekałam od tego tematu, czułam wewnętrzny opór, którego nie uniałam przezwyciężyć, wynikający – kto wie – może z niejasnego poczucia winy. Z lęku przed konfrontacją ze sprawą, która mnie niejako uwierała, powodowała psychiczny dyskomfort. Z tym lękiem i ze świadomością sprzeniewierzenia się bliżej nie sprecyzowanym wartościom i powinnościom – córki? Polki? – jechałam do Katynia”. Pojechała tam jako córka, Polka i oczywiście historyk.

Pani profesor mówi, że dwa razy w trakcie tej wojny zobaczyła, jak zbieg przypadków może zadecydować o życiu człowieka. W czasie podróży na Wschód mieli się gdzieś spotkać z ciotecznią siostrą, ale się nie spotkali i tylko dlatego pani Krystyna nie wyjechała do Czerniowiec w Rumunii, a potem do Afryki Południowej. Gdyby nie przyjechały z matką do Generalnego Gubernatorstwa, korzystając ze zorganizowanej przez

Rosję i Niemcy wymiany ludności, oglądałyby białe niedźwiedzie. A tak spędziła wojnę w dużym, jak mówi, rodzinnym kolchozie, w domu ciotki, w Rozwadowie nad Sanem.

Po latach starała się odtworzyć klimat ideowy, w jakim wzrastała. To było coś pośredniego między endecją a przedwojenną „Polityką” Jerzego Giedroycia. Spytała kiedyś

ma małe dzieci, nie wolno mieszać się do konspiracji.

– Coś we mnie z tego zostało – mówi pani profesor.

Wiosną 1945 roku, jeszcze przed powstaniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, matka nie miała żadnych wątpliwości, że należy podjąć współpracę z nową władzą. Sama, jak najdalej od komunizmu

Nigdy nie należała do żadnych salonów, nie siedziała przy żadnym stoliku w kawiarni, nie aspirowała do miejsc, gdzie nie byłaby pierwsza.

matkę, jakie przed wojną czytało się w domu gazety i była to właśnie „Polityka”. Sama pamięta, że wychowywała się w klimacie zdecydowanie antypowstańczym. Szarża ułanów pod Kutnem czy obrona Westerplatte to nie były pozytywne wzorce. Jej rodzina patrzyła na wrzesień 1939 jak na kompromitację. Matka i ciotka uważały, że jeśli się

i wszelkiej lewicowości – nigdy nie wstąpiła do żadnej partii – należała do tego odłamu polskiej inteligencji, która uważała, że należy się włączyć, że trzeba być. Włączyć się i być miała córka Krzysia.

Najpierw do Liceum im. Sempołowskiej przyszedł Krzysztof Dunin-Wąsowicz namawiać do OMTUR-u, potem Andrzej Jasiński >



Misie i pies świetnie piorą się w pralce.

◁ namawiać do ZWM. Krzysia, nie widząc żadnej różnicy między jedną a drugą organizacją, wstąpiła do OMTUR-u. Dwa lata później zakochała się w Andrzeju Jasińskim i stworzyli w ten sposób „jedność organizacyjną” w ZMP.

W 1949 roku pani profesor, będąc w szóstym miesiącu ciąży, zdała maturę. Wzięli ślub, zdali na historię. Zaliczyła rok jako dobra studentka. Jesienią następnego roku zaczęła się już, jak mówi pani Krystyna, sprawa z Kerstenem.

– To było okropne.

Bo w jej grupie studenckiej panowały, jak pamięta, nastroje średnio antysemityczne – oto nasza dziewczyna zostawiła naszego chłopca po to, żeby wyjść za tego Żyda. No i wszystko ubrane było w szaty zetempowsko-komunistycznej moralności. Zamieszkali w domkach letniskowych w Świdrze. Obie rodziny były niechętne ich małżeństwu.



Z kolekcji drewnianych diabłów.

Jakieś, jak mówi pani profesor, socjopsychoklasowe uprzedzenia. Byli sami, byli biedni i zdani na siebie. Obydwoje musieli być obecni na wszystkich zajęciach, więc koleżanki na zmianę pilnowały dzieci. Musiała grać wiele ról i dlatego żadnej nie grała dobrze i do końca. W ZMP była, jak mówi, średnio aktywna, ale tylko ze względu na dzieci, bo zapału, przynajmniej, miała w nadmiarze. Na jej widzenie i odczuwanie historii tamtego okresu oddziałuje uczucie, które dobrze pamięta: to ten

pochód, w którym się maszeruje zatracając siebie, i ten ostracyzm, na jaki była skazana przez rozwód i powtórne małżeństwo.

– To może dziwnie brzmi, ale to doświadczenie silnie wchodzi w moją świadomość historyka.

W 1954 roku, gdy skończyła studia (praca magisterska miała tytuł *Rynek lokalny Wielunia w XVI wieku*), wezwał ją profesor Tadeusz Manteuffel. Profesor był antyfeministą, uważał, że kobiety nie nadają się do intelektualnej pracy, ale docenił chłodny, logiczny i męski umysł świeżej magistrantki.

– To chyba zasługa kilku pokoleń prawników – śmieje się z szezlonga pani profesor. Profesor Manteuffel zaproponował jej doktorat z historii najnowszej – z okresu międzywojennego. Skoro już, pomyślała pani Krystyna, to skoczę na głęboką wodę, skoczę na historię PRL. No tak, kiedy się ma 23 lata, to wydaje się człowiekowi, że wszystko jest możliwe. Że można zajmować się historią

PRL i że wiele zależy od tego, jak ona będzie to robiła. A tu jeszcze nie tak dawno, bo rok temu, uczniowie jednego z liceów spytali ją na spotkaniu, dlaczego właściwie zajmuje się historią najnowszą. Jeszcze rok temu myśleli, że historia powojenna, to nie może być historia pisana prawdziwie.

Wtedy w 1954 roku *Osadnictwo wiejskie na Pomorzu Zachodnim* wydało jej się całkiem dobrym tematem, bo był to, jak uważała, proces zamknięty. Promotor Roman Werfel otworzył jej archiwum, jakich nikt inny nie mógł jej wówczas otworzyć. Kerstenowa, mówił, co wy z tego napisiecie, to jest inna sprawa, ale badać możecie wszystko. Kiedy oburzała się, że Bolesław Piasecki nie jest godny Orderu Lenina, Werfel mówił: ja wam, Kerstenowa, nie każę pić z nim wódki, ja wam nie każę iść z nim w góry, ale polityka to jest polityka.

Polityka to jest polityka i dlatego marzenie pani Kersten, żeby wstąpić do partii, mogło się ziścić dopiero na fali październikowej odwilży. Przedtem, jako prokuratorska córka, nie mogła dostąpić tego „zaszczytu”.

W 1962 roku wyszła jej książka o PKWN. Uważała ją wtedy za książkę uczciwą, a dziś nie waha się przyznać, że jest to książka naukowo skrzywiona. Opierała się wtedy na ograniczonych źródłach i uważała, że to wcale nie zmienia jej optyki. Pełne odzwierciedlenie wydarzeń i procesów początków powojennej historii Polski dała pani profesor w książce *Narodziny systemu władzy*, która ukazała się w 1985 roku w podziemiu i była czytana w radiu Wolna Europa.

– Ta książka – mówi – mnie zrobiła.

A już chciała rzucić to wszystko. W 1968 roku zaczęła żałować, że zajmuje się powojenną historią Polski, chciała się przekwalifikować na okres wcześniejszy, ale mąż wybił jej to z głowy.

W 1968 roku wystąpiła z partii. O swojej przynależności partyjnej mówi po pierwsze dlatego, że sama jest historykiem dziejów najnowszych, a po drugie dlatego, że przeglądała niedawno *Who is who* i zauważyła, że przynależność partyjna z wielu życiorysów po prostu raptem wyparowała. Sama wystąpiła z partii, ale mężowi nie pozwoliła. Uważała, że jej w Instytucie Historii PAN

Zawsze temu, co stawiało się jej własnością, obojętne czy to żakiet, czy męczyzna, odbierała połowę zalet.

się upiecze, a mąż straci pracę profesora historii w Lublinie. Do dziś myśli, że było to jedno z najgłupszych zachowań w jej życiu. To, że ona wystąpiła z partii, a on nie, tkwiło przez cały czas jak zadra. Może trochę ze względu na męża nie zaangażowała się w opozycję w latach siedemdziesiątych, ale pan profesor Kersten zaczął działać w Towarzystwie Kursów Naukowych i od razu wywalili go z partii.

Pani Krystyna mówi, że nigdy nie należeli do żadnych salonów. Najpierw było mieszkanie poza Warszawą i dzieci, a zawsze była, jak twierdzi, niepokorna osobowość jej męża. Niepokorna i niesalonowa. Ona również nie siedziała przy żadnym stoliku w kawiarni, nie aspirowała do piaskownic, w których nie należałaby do tych pierwszych. A na to, jak uważa, nie miała szansy.

– A może było to na zasadzie lisa i kwadratnych winogron? – mówi. Nigdy nie lubiła się gdziekolwiek wpychać, ale do dziś nie



Prof. Krystyna Kersten przekonuje swoich doktorantów, że historyk nie jest bezduszną i nieomylną maszyną.

wie, czy to zaleta, czy wada, skromność czy pycha.

– Mąż mi wmawiał, że ja zawsze robię to, co chcę, ale to nieprawda. Robiłam, co chcę, na takiej samej zasadzie, na jakiej można powiedzieć, że wolność to jest zrozumienie konieczności. Ale dziś rzeczywiście żyję tak, jak chcę.

Wybiera to, o czym chce pisać, wybiera to, o czym chce mówić na wykładach, wybiera zajęcia, jakie chce prowadzić, i ludzi, z którymi chce się widywać. Mówi, że z wielu

kontaktów rezygnuje, co może w końcu dąże samotność, ale to jest samotność z wyboru, a nie z przy-musu.

– Mam poczucie, że jestem maksymalnie wolna, tak wolna, jak tylko człowiek może być.

Stara się nie mieć rano żadnych wykładów, żadnych seminariów, żadnych gości z Polski, którzy przyjeżdżają do niej z prośbą, aby objęła ich, jak to się mówi, naukową opieką. Wkłada legginsy, jakąś bluzę, siada przy komputerze (pamiętamy – składak IBM typ AT) i układa swoje puzzle. Zawsze powtarza, że dla niej pisanie historii to jest układanie puzzli – mnóstwo kawałeczków, z których trzeba ułożyć logiczny wzór. Z tym, że w przeciwieństwie do dziecięcej układanki, ona nie ma tego obrazka – wzorca. To jest zresztą, jak mówi pani profesor, ważne metodologiczne pytanie: czy ona tworzy ten wzór, czy też go odtwarza? Myśli, że robi i jedno, i drugie. A robi to tak: naj-pierw układa sobie ogólny, logiczny schemat – drabinkę artykułu czy książki.

Potem zaczyna wypełniać przestrzeń między szczebelkami i to jest właśnie układanie puzzli. Tymi puzzlami są notatki z archiwów, z książek, relacji, z prasy, pamiętników czy korespondencji. Istnieje jednak, jak mówi pani profesor, zasadnicza różnica między zapisami z czasów, o których się pisze (dokumenty, dzienniki, prasa), a tymi, które powstały później (relacje, wspomnienia). Trzeba wiedzieć, że pamięć jest zawodna i podlega deformacjom. A jeszcze trudniej jest wtedy, gdy historyk żyje w cza-

sach, które opisuje. Źródło może się mylić, ale i historyk nie jest bezduszną i nieomylną maszyną do odczytywania i interpretowania informacji. – Dwóch daltonistów – mówi pani profsor – nie zobaczył poziomek wśród liści.

Kiedy żył mąż, zawsze musieli wszystko wspólnie przedyskutować. Teraz pracuje sama i jeśli się już kogoś radzi, to nie profesjonalisty. Lubi pracować w archiwach, bo czuje się wtedy jak poszukiwacz złota, który przesiewa piasek i ma nadzieję znaleźć tę

odrobinę kruszcu. Zawsze, kiedy bierze w archiwum nową teczkę, ma nadzieję, że coś znajdzie, choć tak naprawdę w historii wielkich odkryć być nie może. Jeśli już, to tylko w historii politycznej, zwłaszcza wówczas, gdy nie była ona uprawiana właśnie z politycznych względów – tak jak historia PRL. Przecież te kluczowe dla dziejów sprawy nie są w dokumentach zapisane. Trzeba zbierać okruszki i strzępki informacji, które ten bieg historii pozwolą odcyfrować. Ale raz rzeczywiście zdarzyło jej się prawdziwe odkrycie. Studiując w 1963 roku w Archiwum Akt Nowych protokoły poprzedzające powstanie PKWN, stwierdziła w pewnym momencie, że nie powstał on w Chełmie, ale w Moskwie.

– Nie mogłam w to uwierzyć.

Napisała o tym jako pierwszy historyk, a tygodnik „Polityka” – proszę sobie wyobrazić – w latach sześćdziesiątych to wydrukował. Potem jeszcze w latach osiemdziesiątych można było tu i ówdzie przeczytać, że PKWN powstał, jak zawsze nam wmawiano, w Chełmie.

Lubi pracować, co wcale nie oznacza, że każdego ranka siada do pracy w euforii, czasem się do niej zmusza. Lubi pływać. Lubi się dobrze ubierać i lubi ubierać się drogo. A to dlatego, że dla niej najlepsze buty tracą połowę wartości, kiedy wychodzi z nimi ze sklepu. Zawsze taka była, zawsze temu, co jest jej – obojętne czy to żakiet, czy mężczyzna – odbierała połowę zalet. Gdy więc kupi na przykład kostium, powtarza sobie do znudzenia: słuchaj to jest drogi kostium od Anne Klein i on musi być dobry, po prostu musi. Lubi oczywiście spokojną elegancję, czego po pani profesor można się było spodziewać, ale zawsze musi mieć jakiś kolorowy akcent, żeby nie wyglądać jak szara myszka. Lubi perfumy Givenchy, szminki Lancôme'a i one są jej niezbędne do życia. Jednych perfum Givenchy szuka już od roku.

Lubi zaprosić przyjaciół na kolację, ale ponieważ ma szalone ambicje, jest wykończona, zanim ją poda. Stara się, żeby przygotowywane potrawy były śmieszne, oryginalne i smaczne, a jakie, to już zależy od tego, w jakim jest aktualnie kulinarnym cyklu. Kiedyś chętnie podawała sałatę po nicejsku i polędwicę po angielsku, a ostatnio rybną zupę kreolską. Jeśli zaś o łososia idzie, najlepszy jest ten w dzwonkach, wędzony, na zimno.

Co jeszcze lubi? Lubi zbierać grzyby.

– A najbardziej nie cierpię cnoty i anielskości – mówi pani profesor, która na tę chwilę przycupnęła na szeszlunku. Ale zaraz wstanie i usiądzie przy komputerze, obok którego stoi diabeł po to, żeby stał. *BARBARA N. LOPIEŃSKA*

Historia PRL kryje wiele zagadek.

